



**Rodzina  
Borgiów**

# Prolog

Kiedy Czarna Śmierć przetoczyła się przez Europę, unicestwiając połowę jej ludności, wielu mieszkańców kontynentu w przypiływie rozpaczki odwróciło wzrok od nieba, kierując go ku ziemi. Ci ze skłonnością do filozofowania, aby zapanować nad światem materialnym, próbowali wdrzeć się w tajniki bytu i odkryć wielką tajemnicę życia. Biedni mieli tylko nadzieję ulżyć swemu cierpieniu.

I Bóg, i człowiek zstąpili zatem na ziemię. Surowa doktryna religijna średniowiecza straciła swą moc. Podjęto natomiast badania nad wielkimi cywilizacjami starożytności — rzymską, grecką i egipską. Gdy gorączka wypraw krzyżowych zaczęła opadać, odżyli mityczni herosi, bój pod Troją rozgorzał na nowo. Umysł ludzki wziął się za bary z pojęciem istoty Boga; zapanowały rządy rozumu.

Był to czas wielkich osiągnięć filozofii, sztuk pięknych, medycyny, muzyki. Wspaniały rozwój kultury odbywał się w podniosłej, nasyconej przepychem atmosferze. Nie obyło się jednak bez kosztów. Stare prawa załamały się, nim stworzono nowe. Przejście od ścisłego trzymania się słowa bożego i wiary w zbawienie wieczne do idei poszanowania

człowieka, który za swe cnoty lub grzechy otrzymuje zapłatę w świecie materialnym, zwanej humanizmem — doprawdy nie było łatwe.

Ówczesny Rzym nie był miastem świętym, raczej miastem bezprawia. Na rzymskich ulicach kwitła anarchia i przemoc, złodziejstwo i bandytyzm; szerzyła się prostytutcja. Co tydzień mordowano kilkuset obywateli.

Państwo znane nam jako Włochy — jeszcze nie powstało. Pięć najsilniejszych wówczas ośrodków władzy stanowiły: Wenecja, Mediolan, Florencja, Neapol i Rzym. W granicach włoskiego „buta” istniało wiele niezależnych miast-państw rządzonych przez stare rody, na których czele stali miejscowi arystokraci, książęta czy biskupi. Sąsiadujące ze sobą państewka zażarcie walczyły o terytorium. Zwycięzca musiał się mieć na baczności — i na jego ziemię czyhał jakiś nieprzyjaciel.

Krajowi bezustannie zagrażał przy tym najazd obcych mocarstw. Władcy Francji i Hiszpanii współzawodniczyli w rozszerzaniu swoich wpływów i powiększaniu swoich imperiów. „Barbarzyńscy”, muzułmańscy Turcy najeżdżali włosci papieskie.

Kościół i państwo walczyły o prymat władzy. Po kryzysie papiestwa w okresie wielkiej schizmy — dwóch papieży w dwu miastach, podzielona władza i zmniejszone dochody — tron Piotrowy znów stanął w Rzymie, a zasiadł na nim jeden i jedyny papież. Natchnęło to duchowych przywódców Kościoła nową nadzieją. Silniejsi niż kiedykolwiek, musieli teraz tylko zdominować świecką władzę książąt i hrabiów, panów miast i lenn, roszczących sobie pretensje do niezależności.

Niemniej w świętym Kościele katolickim panował zamęt, jako że nie tylko zwykli obywatele pozwalali sobie na lekceważenie prawa. Kardynałowie wysyłali na ulice swoich pachołków, zbrojnych w kamienie i kusze, by skarcić rzymską młodzież. Dochodziło wówczas do regularnych bitew. Du-

chowni zajmujący wysokie pozycje w hierarchii kościelnej — którym, rzecz jasna, nie wolno było się żenić — odwiedzali kurtyzany, utrzymywali po kilka kochanek. Dawano i przyjmowano łapówki. Osoby piastujące najwyższe urzędy kościelne za pieniądze gotowe były udzielić dowolnej dyspensy czy zdobyć świętą bullę papieską, umożliwiającą puszczenie w niepamięć najstraszniejszych zbrodni.

Pozbawieni złudzeń obywatele mawiali, że w Rzymie wszystko jest na sprzedaż. Za odpowiednio dużą kwotę można tam było kupić kościół, księdza, darowanie kary, a nawet boskie odpuszczenie grzechów.

Ludzie, którzy przywdziewali szaty duchowne, byli zwykle „drugimi synami”, od dziecka przeznaczonymi do służby kościelnej. Zazwyczaj nie czuli prawdziwego powołania, ale ponieważ Kościół nadal miał moc kreowania władzy — ogłaszania królów królami — i udzielania błogosławieństw ziemi i ludziom, żadna arystokratyczna rodzina włoska nie żałowała podarków i łapówek, gdy chodziło o wprowadzenie kogoś z jej synów do Kolegium Kardynałów.

Taki był włoski renesans, epoka kardynała Rodriga Borgii i jego rodziny.

# Rozdział 1

Złote promienie letniego słońca nagrzały już bruk rzymskich ulic, kiedy kardynał Rodrigo Borgia opuścił Watykan i rażnym krokiem ruszył w stronę Piazza Pizzo di Merlo. Zmierzał do stojącego tam dwupiętrowego domu o zdobnej stiukami fasadzie, skąd miał dziś zabrać trójkę swych dzieci: synów Cezara i Juana oraz córkę Lukrecję, krew z jego krwi, kość z kości. Tego dnia, całkiem zresztą powszedniego, wicekanclerz Kościoła, drugi po papieżu najpotężniejszy człowiek w Watykanie, wyraźniej niż zwykle czuł, że sprzyja mu łaska pańska.

Znalazłszy się w domu matki swoich dzieci, Vannozy Cattanei, przyłapał się na radosnym pogwizdywaniu. Jako synowi Kościoła nie wolno mu się było żenić, lecz jako sługa boży miał pewność, iż zna i rozumie zamysły Pana. Bo czyż ojciec w niebiosach nie stworzył Ewy, by towarzyszyła Adamowi nawet w raju? I czy nie wynika z tego, że na tej zdradliwej ziemi, na tym łez padole, męczyzna tym bardziej potrzebuje ukojenia, jakie dać mu może tylko kobieta? Już wcześniej, jako młody biskup, spłodził troje dzieci, ale te ostatnie, te z Vannozy, zajmowały szczególnie miejsce w jego sercu. Zdawało się, że rozpalają w nim te same namiętności, co ich matka. Już teraz, choć były jeszcze tak małe, wyobrażał je sobie stojące na jego

ramionach, tak że razem tworzyli coś na kształt olbrzyma; w jego wizji pomagały mu zjednoczyć posiadłości papieskie i rozszerzyć panowanie Kościoła świętego na cały niemal świat.

Dzieci zawsze, ilekroć je odwiedzał, zwracały się doń „papo”, nie znajdując sprzeczności między jego przywiązaniem do nich a lojalnością wobec Stolicy Apostolskiej. Nie widziały niczego dziwnego w tym, że był kardynałem, a zarazem ich ojcem. Przecież syn i córka papieża Innocentego nieraz wspinała kawkadą przemierzali ulice Rzymu, udając się na oficjalne uroczystości.

Kardynał Rodrigo Borgia związany był z Vannozzą od ponad dziesięciu lat. Uśmiechał się na myśl, że niewiele kobiet umiało tak długo rozpalać jego zmysły i budzić zainteresowanie. Nie, żeby Vannozza była jedyną kobietą w jego życiu. Na to nie pozwoliłby jego temperament człowieka namiętnie pożądanego ziemskich rozkoszy. Na pewno jednak znaczyła dlań o wiele więcej niż inne kobiety. Inteligentna, w jego oczach — piękna, była kimś, z kim mógł rozmawiać zarówno o sprawach życia doczesnego, jak i wiecznego. Wielokrotnie służyła mu mądrą radą. On zaś był dla niej hojnym kochankiem i czułym ojcem ich wspólnych dzieci.

Vannozza z progu pomachała dzieciom na pożegnanie. Uśmiechała się dzielnie, choć wcale nie było jej do śmiechu.

Jednym ze źródeł jej siły teraz, kiedy dobiegła czterdziestki, była świadomość, że rozumie tego mężczyznę w kardynalskich szatach. Wiedziała, że zżera go ambicja, nieugaszony ogień płonący w jego piersi. Miał już opracowaną strategię rozszerzenia wpływów świętego Kościoła katolickiego, strategię wspartą odpowiednimi sojuszami politycznymi i obietnicami układów, które miały

umocnić jego pozycję i władzę. Rozmawiał z nią o wszystkich tych sprawach. Jego umysł bez wytchnienia rodził nowe pomysły, nowe idee. Przeznaczeniem tego człowieka było stać się jednym z największych przywódców ludzkości, a jego sukces oznaczał także życiowe powodzenie jej dzieci. Vannozza próbowała pocieszać się myślą, że pewnego dnia, jako legalni spadkobiercy kardynała, zdobędą bogactwo i władzę, że otworzą się przed nimi nieograniczone możliwości kariery świeckiej lub duchownej. Tak więc musiała pozwolić im odejść.

Objęła mocniej najmłodszego syna, Jofre. Tylko on jej pozostał — niemowlę przy piersi, zbyt mały, by rozłączyć go z matką. Niedługo jednak i on odejdzie. Ciemne oczy VannoZZy zaszkliły się łzami, kiedy patrzyła za odchodzącą trójką starszych dzieci. Tylko Lukrecja przelotnie spojrzała za siebie. Chłopcy nie obejrzel się ani razu.

VannoZZa widziała, jak kardynał wyciąga ręce i ujmuje małe dłonie dzieci — młodszego syna, Juana, i trzyletniej Lukrecji. Ich najstarszy syn, Cezar, pozostawiony sam sobie, wyglądał na zdenerwowanego. Będą kłopoty, pomyślała, ale z czasem Rodrigo pozna dzieci równie dobrze jak ona. Z wahaniem zamknęła ciężkie, drewniane drzwi.

Przeszli zaledwie kilka kroków, gdy Cezar, teraz już nie zdenerwowany, a po prostu zły, pchnął brata tak mocno, że Juan puścił dłoń ojca, zatoczył się, niewiele brakowało, a byłby upadł. Kardynał przytrzymał chłopca, a następnie odwrócił się i rzekł:

— Cezarze, mój synu, czy zamiast popychać brata, nie mógłbyś powiedzieć, czego sobie życzysz?

Juan, tylko o rok młodszy, ale znacznie delikatniejszej budowy ciała niż siedmioletni Cezar, parsknął wyzywająco, dumny, że sam ojciec wziął go w obronę. Niedługo jednak cieszył się tą przewagą, bo brat przysunął się doń ukradkiem i z całej siły nadepnął mu na stopę.

Juan wrzasnął z bólu.

Kardynał jedną wielką dłonią złapał Cezara za koszulę na karku, uniósł ponad bruk ulicy i potrząsnął nim tak gwałtownie, że kasztanowate loki opadły mu na twarz. Następnie postawił chłopca na ziemi, przyklęknął przed nim, a wyraz jego twarzy złagodniał.

— O co chodzi? — zapytał. — Dlaczego jesteś taki niezadowolony?

Pociemniałe z gniewu oczy chłopca świeciły niczym węgle, kiedy przenikliwym spojrzeniem wpijał się w twarz ojca.

— Nienawidzę go, papo — oznajmił z przejęciem. — Zawsze jego wybierasz...

— No już, uspokój się, Cezarze. — Kardynał był rozbawiony. — Siła rodziny, podobnie jak siła armii, leży we wzajemnej lojalności jej członków. Poza tym, nienawiść do własnego brata to grzech śmiertelny, a nie masz powodu narażać swojej nieśmiertelnej duszy, ulegając takim uczuciom. — Wyprostował się i z góry spojrzął na syna. Uśmiechnął się i poklepał po wydatnym brzuchu. — Przecież jest mnie dość dla was wszystkich... nieprawdaż?

Rodrigo Borgia był olbrzymim mężczyzną — przy takim wroście nie raziła nawet jego tusza — przystojnym, choć raczej nie na sposób arystokratyczny, bo rysy twarzy miał wyraziste, ale niezbyt regularne. Czarne oczy błyszczały często rozbawieniem. Nos, chociaż duży, nie robił odpychającego wrażenia, a pełne, zmysłowe usta, zwykle uśmiechnięte, nadawały mu wygląd człowieka wielkodusznego. Ale tym, co sprawiało, iż w zgodnej opinii współczesnych uchodził za jednego z najbardziej atrakcyjnych mężczyzn epoki, był jego magnetyzm, niepojęta energia, jaką emanował.

— Możesz zająć moje miejsce, Czarcu — rozległ się nagle głos Lukrecji, tak czysty i dźwięczny, że kardynał odwrócił się ku niej całkowicie urzeczony. Stała z założonymi na piersi rękami i wyrazem zdecydowania na anielskiej



twarzycze. Długie, jasne włosy kaskadą loczków opadały jej na ramiona.

— Nie chcesz trzymać papy za rękę? — Kardynał udał obrażonego.

— Mogę nie trzymać cię za rękę, a i tak nie będę płakała — odrzekła. — Ani się nie rozzłoszczę.

— Kreciu — z uczuciem powiedział Cezar — nie bądź osłem. Juan i tak jest już ulubieńcem papy; raz może iść sam. — Spojrzał z niesmakiem na brata, który szybko otarł zapłakane oczy rękawem jedwabnej koszuli.

Kardynał pieszczotliwie rozwichrzył czarne włosy Juana, próbując go pocieszyć.

— Przestań płakać. Możesz wziąć mnie za rękę. — Odwrócił się i spojrzał na Cezara. — A mój mały wojownik może trzymać za drugą. — Następnie zerknął na Lukrecję i obdarzył ją szerokim uśmiechem. — A ty, aniołeczku? Co mam począć z tobą?

Wyraz twarzy dziewczynki nie uległ zmianie; nie okazywała żadnych uczuć. Kardynał był zachwycony. Uśmiechnął się z uznaniem.

— Prawdziwa córeczka papy. W nagrodę za szlachetność i odwagę możesz usiąść na honorowym miejscu.

Rodrigo Borgia pochylił się, a potem szybko unióśł córkę nad głowę i usadowił na swoich ramionach. Zaśmiała się rozradowana. Kardynał szedł teraz w fantazyjnie rozwianych eleganckich szatach i z córką, niczym nową, piękną koroną, na głowie.

Jeszcze tego samego dnia Rodrigo Borgia umieścił dzieci w pałacu Orsinich, naprzeciwko własnego pałacu w Watykanie. Opiekowała się nimi Adriana Orsini, owdowiała siostrzenica Rodriga. Biorąc na siebie obowiązki guwernantki, zajęła się także ich edukacją. Syn Adriany, Orsino, w wieku trzynastu lat zaręczył się z piętnastoletnią

Giulią Farnese, która niebawem wprowadziła się do pałacu przyszej teściowej, by pomóc jej piastować potomstwo Borgii.

Na co dzień dzieci pozostawały pod opieką kardynała, ale nadal odwiedzały matkę, obecnie żyjącą u boku trzeciego męża, Carla Canale. Dwu poprzednich wybrał Vannozzy Rodrigo Borgia, podobnie rzecz się miała z Carlem. Kardynał wiedział, że wdowa musi mieć męża, który zapewni jej opiekę i zadba o reputację rodziny. Rodrigo był zawsze dobry dla Vannozzy; czego nie dostała od niego, odziedziczyła po dwu poprzednich mężach. W odróżnieniu od pięknych, ale pustogłowych kurtyzan, nałożnic niektórych arystokratów, Vannozza była kobietą praktyczną. Rodrigo zawsze podziwiał tę jej cechę. Kilka sprawnie zarządzanych gospód i posiadłość ziemska przynosiło Vannozzy znaczny dochód. A jako kobieta pobożna, własnym sumptem wybudowała poświęconą Madonnie kaplicę, w której odmawiała codziennie modlitwy.

Niemniej po dziesięciu z górą latach związku namiętność łącząca Rodriga z Vannozzą przygasła. Stali się dobrymi przyjaciółmi.

Nie minęły dwa miesiące, a mały Jofre, niepokieszony po stracie rodzeństwa, także musiał opuścić dom matki. I tak wszystkie dzieci Rodriga Borgii znalazły się pod opieką jego siostrzenicy.

Przez następne kilka lat, jak przystało potomkom możnego kardynała, pobierały nauki u najzdolniejszych rzymskich pedagogów. Zdobywały wiedzę z zakresu nauk humanistycznych, astronomii i astrologii, historii starożytnej. Uczyły się kilku języków, w tym hiszpańskiego, francuskiego i angielskiego, oraz, rzecz jasna, języka Kościoła, łaciny. Dzięki swej inteligencji i zamięlowaniu do współzawodnictwa, Cezar regularnie osiągał celujące wyniki. Najlepiej jednak zapowiadała się Lukrecja. Poza wszystkim innym miała bowiem niezłomny charakter, którego głównym rysem była

nieskażona prawość. Większość dziewcząt zdobywała wykształcenie w klasztorach; posyłano je tam, oddając pod opiekę świętym. Lukrecję — za radą Adriany i za zgodą kardynała — oddano pod opiekę muzom. O jej rozwój dbali ci sami wybitni pedagodzy, którzy kształcili Cezara i Juana. Ponieważ kochała sztukę, uczyła się gry na lutni, tańca i rysunku. Po mistrzowsku opanowała sztukę haftu na przetykanych srebrem i złotem tkaninach.

Lukrecja wiedziała, że ma poniekąd obowiązek rozwijać swój osobisty czar i te talenty, które podniosą jej wartość na matrymonialnym „ryнку”. W przyszłości, poprzez jej małżeństwo, rodzina Borgiów będzie mogła zawiązać korzystne sojusze. Jedną z ulubionych rozrywek Lukrecji stało się pisanie wierszy. Długie godziny spędzała na układaniu strof przepojonych ekstatyczną miłością do Boga albo, dla odmiany, poświęconych ziemskiej, romantycznej miłości. Szczególną inspiracją były dla niej żywoty świętych. Bywało, że słowa przepelniały jej serce i umysł w takiej obfitości, iż nie nadążała przelewać ich na papier.

Giulia Farnese traktowała Lukrecję jak młodszą siostrę; Adriana i kardynał otaczali ją czułą opieką, toteż wyrastała na dziecko szczęśliwe i obdarzone miłym usposobieniem. Ciekawa świata i łatwa we współżyciu, nie znosiła wszelkiej dysharmonii i niezgody. Robiła, co mogła, by przyczynić się do zachowania pokoju w rodzinie.

Pewnej pięknej niedzieli, po mszy odprawionej w Bazylice Świętego Piotra, kardynał Borgia zaprosił swoje dzieci do Watykanu. Było to posunięcie odważne i raczej niespotykane, gdyż od kiedy papieżem został Innocenty VIII Cibo, dzieci księży zaczęto przedstawiać jako ich bratanków i siostrzenice. Otwarte przyznanie się do ojcostwa mogło uniemożliwić mianowanie na jakikolwiek wysoki urząd kościelny. Oczywiście ludzie wiedzieli, że kardynałowie, a nawet

papieże mają dzieci — nikt nie wątpił, iż oni też grzeszyli. Ale dopóki fakt ten pozostawał ukryty, zamaskowany mówieniem o „rodzinie”, a prawda o pochodzeniu dzieci widniała jedynie w tajnych dokumentach, godność urzędu nie była splamiona. Kardynał wszakże, zbyt niecierpliwy, by stać się prawdziwym hipokrytą, nie bardzo dbał o opinię publiczną. Bywało, rzecz jasna, że i on zmuszony był zmieniać lub upiększać prawdę. To jednak zrozumiałe u kogoś, kto para się dyplomacją.

Na tę specjalną okazję Adriana ubrała dzieci w najlepsze szatki: Cezara w czarne atłasy, Juana w biały jedwab, a dwuletniego Jofre w niebieskie śpioszki, atłasowe, bogato zdobione haftem. Lukrecja miała na sobie wybraną przez Giulie długą koronkową sukienkę brzoskwiniowej barwy, na głowie zaś, przypięty do jasnoblond loków, niewielki, wysadzany drogimi kamieniami diadem.

Kardynał skończył czytać dokument przywieziony z Florencji przez jego głównego doradcę, Duarte Brandao, a dotyczący pewnego dominikańskiego mnicha nazwiskiem Savonarola. Podobno był on prorokiem, natchnionym przez Ducha Świętego. Co jednak bardziej zagrażało zamysłom kardynała, prości obywatele Florencji tłumnie stawiali się na kazaniach Savonaroli i nadzwyczaj żywo na nie reagowali. Okrzyknięty wizjonerem, święty mówca i kaznodzieja w pełnych żaru kazaniach występował często przeciw cielesnym i finansowym nadużyciom watykańskiej hierarchii.

— Tego niby prostego braciszka musimy mieć na oku — powiedział Rodrigo Borgia. — Już się zdarzało, że wielkie dynastie upadały za sprawą prostych ludzi, którzy uwierzyli, iż znaleźli się w posiadaniu jedynej, świętej prawdy.

Brandao był wysokim, szczupłym mężczyzną, o długich, czarnych włosach i rasowym, arystokratycznym obliczu. Wyglądał na łagodnego i przyjacielskiego, ale w Rzymie

mówiło się, że nie było odeń straszniejszego gwałtownika, gdy spotykał się z przejawami nielojalności czy zuchwalstwa. Panowała opinia, iż tylko głupiec zrobiłby sobie z niego wroga. Teraz Duarte pogładził wskazującym palcem wąsa, rozważając ukryty sens słów kardynała.

— Chodzą słuchy — rzekł — że ten mnich w swoich kazaniach napada także na Medyceuszy, przy pełnej, zresztą, aprobacie obywateli Florencji.

Rozmowę przerwało pojawienie się dzieci. Duarte Brandao przywitał je z uśmiechem, a następnie usunął się w kąt komnaty.

Lukrecja, podniecona tą niezwykłą chwilą, od razu rzuciła się ojcu w objęcia. Chłopcy jednak zostali z tyłu; stali sztywno, z rękami założonymi na plecy.

— Chodźcie, synkowie — rzekł Rodrigo, tuląc córkę w ramionach. — Chodźcie i dajcie papie buziaka. — Przywołał ich ruchem dłoni, uśmiechając się przy tym ciepło i serdecznie.

Cezar pierwszy zbliżył się do ojca. Rodrigo Borgia postawił Lukrecję na złotym karle u swoich stóp i objął syna. Był silnym chłopcem, wysokim, muskularnym. Ojciec lubił dotyk jego ciała; przywracał mu ufność we własną przyszłość. Uściskał syna, a następnie odsunął go na odległość ramienia, aby mu się przyjrzeć.

— Cezarze — rzekł z czułością — co dzień odmawiam modlitwę dziękczynną do Najświętszej Pani, bo raduje się moje serce, ilekroć cię widzę.

Chłopiec uśmiechnął się radośnie, uszczęśliwiony ojcowską aprobatą. Potem odsunął się na bok, robiąc miejsce Juanowi. I być może sprawił to przyspieszony rytm uderzeń dziecięcego serca, które kardynał czuł na własnej piersi, może spazmatyczny oddech, świadczący o zdenerwowaniu, ale jakaś część Rodriga przypiływem czułości zareagowała na te objawy słabości Juana. Kiedy więc objął syna, uściskał go delikatniej niż Cezara, ale trzymał w ramionach nieco

dłużej.

Jedząc samotnie w swoich apartamentach, kardynał zazwyczaj pospiesznie spożywał prosty posiłek złożony tylko z chleba, owoców i sera. Tego jednak dnia przykazał służącym zastawić stół pastą i pieczonym drobiem, wołowiną z konfiturami, smażonymi w cukrze kasztanami.

Kiedy dzieci, Adriana i jej syn Orsino oraz piękna i czarująca Giulia Farnese usiedli wokół stołu, śmiejąc się i paplając beztrosko, Rodrigo Borgia poczuł się szczęśliwy. Otoczony przez rodzinę i przyjaciół nabierał oto pewności, że warto było żyć na tej ziemi. Odmówił bezgłośnie modlitwę, wyrażając swą wdzięczność boskiej opatrzności. Kiedy służący lał czerwone niczym krew wino do srebrnego pucharu kardynała, ten jak nigdy czuł się przepelniony życzliwością. Roztkliwił się nieco i jakby dając wyraz swoim uczuciom, pierwszy łyk wina odstąpił siedzącemu obok niemu Juanowi.

Chłopiec jednak skosztował napoju i skrzywił się.

— Za gorzkie, papo — powiedział. — Nie smakuje mi. Rodrigo Borgia, jak zawsze czujny, zmartwiał z przerażenia. To było słodkie wino, nie powinno zawierać przymieszki goryczy...

Bardzo szybko Juan jął się skarżyć, że mu niedobrze, zgiął się wpół, dręczony bólem brzucha. Ojciec i Adriana próbowali go pocieszać, ale chwilę później zaczął wymiotować gwałtownie. Kardynał wziął chłopca na ręce, zaniósł do przedpokoju i ułożył na obitej brokatem sofie.

Niezwłocznie wezwano watykańskiego medyka; nim jednak przybył, Juan stracił przytomność.

— Trucizna — oświadczył lekarz, zbadawszy dziecko.

Juan był błydy jak śmierć, rozpalony gorączką, czarna żółć cienką strużką sączyła mu się z ust. Wyglądał jak bezbronny niemowlę.

Zwykle spokojny i opanowany, kardynał wpadł we wściekłość.

— Trucizna przeznaczona dla mnie... — powiedział.

Na te słowa stojący nieopodal Duarte Brandao dobył miecza i rozejrzał się czujnie, gotów odeprzeć każdy kolejny zamach na życie i zdrowie kardynała i jego rodziny.

— Wróg jest w pałacu — zwrócił się doń Rodrigo. — Zbierz całą służbę w wielkiej sali. Każdemu daj kielich wina i każ wypić. A potem przyprowadź tu tego, kto odmówi.

— Drogi kuzynie — zatroskanym tonem szepnęła Adriana — Wasza Dostojność, rozumiem twój żal, ale w ten sposób utracisz swych najbardziej zaufanych ludzi. Wielu z nich będzie chorować, niektórzy umrą...

— Nie dam im wina, które podsunęto memu biednemu, niewinnemu dziecku. Dostaną czysty napój. Ale winny grzechu, i tylko on, odmówi wypicia, bo strach ściśnie go za gardło, nim doniesie puchar do ust.

Duarte oddalił się spieszenie, by wypełnić rozkazy kardynała.

Juan, przeraźliwie blady, wciąż leżał nieruchomy jak głaz. Siedziały przy nim Adriana, Giulia i Lukrecja, ocierając mu czoło wilgotnymi ręcznikami.

Kardynał Rodrigo Borgia ujął bezwładną, drobną dłoń syna i ucałował ją. Następnie udał się do prywatnej kaplicy i klęknął przed figurą Matki Boskiej. Zwracał się do niej, gdyż wiedział, że rozumiała, co to znaczy utracić syna, i zaznała bólu po takiej stracie.

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy — błagał — wszystko, czego może dokonać człowiek, aby przywieść tysiące nieśmiertelnych dusz na łono jedynego prawdziwego Kościoła. Twojego Kościoła. Dopilnuję, by wielbiły twego syna, jeśli tylko ty oszczędzisz życie mojego...

W drzwiach kaplicy stanął Cezar. Kiedy kardynał odwrócił się, by nań spojrzeć — miał łzy w oczach.

— Pójdź, Cezarze. Pójdź, synu. Pomódl się za swego brata.

Chłopiec zbliżył się do figury, by klęknąć obok ojca.

Kardynał z Cezarem wrócili z kaplicy, ale w komnacie panowało milczenie, dopóki nie pojawił się Duarte.

— Winowajca został odkryty — obwieścił. — To zwykły kuchcik, ostatnio zatrudniony na dworze w Rimini.

Rimini była to niewielka *signoria* na wschodnim wybrzeżu Italii, której władca, Gaspare Malatesta, miał opinię zagorzałego wroga Rzymu i papieżstwa. Ten olbrzymiej postury mąż, o ciele dość wielkim, by pomieścić dwie dusze, i obrzmiałej, dziobatej twarzy, nosił przydomek Lwa, a to dla zwykle splątanych, rudych włosów.

Kardynał Borgia opuścił swe miejsce u boku chorego syna i szepnął do Duarte:

— Zapytaj kuchcika, dlaczego w takiej pogardzie ma Jego Świątobliwość. A potem każ mu wypić butelkę wina z naszego stołu. Dopilnuj, by opróżnił ją do dna.

Duarte skinął głową.

— A co mamy z nim zrobić, kiedy już wino zadziała? — spytał.

Oczy kardynała płonęły, a twarz poczerwieniała, gdy mówił:

— Posadź go na osła, przywiąż mocno i poślij Lwu z Rimini z taką wiadomością: niech Malatesta zacznie się modlić o odpuszczenie grzechów i pojedna się z Bogiem.

Jeszcze kilka tygodni Juan przeleżał jakby pogrążony w głębokim śnie. Kardynał zarządził, by pozostał w pałacu w Watykanie, gdzie mógł się nim opiekować jego osobisty lekarz. Adriana czuwała nad chłopcem, mając do pomocy kilka służebnych. Rodrigo Borgia tymczasem całymi godzinami modlił się w swej kaplicy do Najświętszej Pani.

— Tysięczne rzesze natchnę wiara jedyne prawdziwego Kościoła — obiecywał żarliwie. — Tylko prześlągaj Chrystusa, by oszczędził życie mojego syna.



Jego modlitwy zostały wysłuchane; Juan wyzdrowiał. Zwiększyło to jeszcze oddanie kardynała Kościołowi świętemu i rodzinie.

Niemniej Rodrigo Borgia był świadom, że sama przychylność niebios nie zapewni już bezpieczeństwa jego bliskim. Wiedział, że należało zatem podjąć dodatkowe działania.

Kardynał zrozumiał, iż musi posłać do Hiszpanii po Miguela Corella, znanego również jako don Micheletto, od włoskiego odpowiednika jego imienia — Michele.

Miguel był nieślubnym synem siostry Rodriga Borgii. Już od najmłodszych lat przeczuwał, jak potoczą się jego losy. Wychowywał się w Walencji i jako dziecko nie był ani podły, ani nie zdradzał skłonności sadystycznych. Często natomiast stawał w obronie tych, którzy przez swą dobroć stawali się bezbronni wobec brutalności otoczenia, jako że zwykle łagodność bywa mylona ze słabością.

Wczesnie pogodził się ze swoim przeznaczeniem: będzie chronił tych, którzy w imię świętego Kościoła rzymskiego niosą światu pochodnię wiary.

Miguel był silnym chłopcem, a niezłomność jego lojalności dorównywała gwałtowności uczynków. Opowiadano, że jako nastolatek, co prawda krzepki i mocno zbudowany, w obronie matki, właśnie siostry kardynała, stawiał czoło najdzikszemu bandycie w mieście.

Miał wówczas ledwie szesnaście lat. Wspomniany bandyta z grupą młodocianych rzeźmieszków wtargnął do ich domu i próbował odpędzić chłopca od skrzyni, w której jego matka przechowywała cenne święte relikwie i rodzinną bieliznę. Kiedy Miguel, zazwyczaj raczej małomówny, skłął bandytów i odmówił ruszenia się z miejsca, przywódca napastników ciął go sztyletem w twarz. Ostrze rozplatało policzek i krew chlusnęła na pierś chłopca. Jego matka krzyknęła

rozpaczliwie, siostra zaniósła się głośnym łkaniem, ale on nieporuszony stał na posterunku.

Na koniec, kiedy na ulicy zaczęli się gromadzić sąsiedzi i ich krzyki dotarły do izby, bandyci w obawie przed ujęciem wycofali się; umknęli z miasta w kierunku pobliskich skał.

Kilka dni później ta sama banda próbowała wrócić do Walencji, lecz napotkała zorganizowany opór. Większość łotrów zbiegła, ale ich przywódca został pochwycony przez Miguela. Rankiem znaleziono pechowego zbója wiszącego na grubej linie na dużym drzewie zdobiącym miejski rynek.

Odtąd Miguel Corella zyskał sobie w okolicy reputację człowieka gwałtownego. W obawie przed zemstą nikt nie śmiał mu się narazić czy skrzywdzić kogoś z jego przyjaciół lub krewnych. Twarz mu się zagoiła, ale naznaczona została tak ogromną blizną, że usta Miguela na zawsze pozostały wykrzywione; innych szkód nie poniósł. I choć u kogoś innego taki zgoła szyderczy grymas robiłby przerażające wrażenie, opinia Miguela jako sprawiedliwego wśród ludzi, a także miłosierne spojrzenie jego złotobrazowych oczu sprawiały, iż każdy rozpoznawał w nim człowieka w gruncie rzeczy poczciwego. To wtedy mieszkańcy miasta zaczęli z sympatią nazywać go „don Micheletto”. Stał się postacią znaną i otoczoną powszechnym szacunkiem.

Kardynał Rodrigo Borgia uważał, że w każdej rodzinie ktoś musi działać zupełnie jawnie, w pełnym świetle dnia, i głosić słowo boże. Jednakże za nim muszą stać inni, którzy zadbają o bezpieczeństwo i o to, by ich wspólny zbożny trud zrodził owoce. Ci, co władali Kościołem, nie mogliby się sami obronić przed złem, kryjącym się w ich otoczeniu, bez ludzkiej pomocy, bo taka była natura świata, w jakim przyszło im żyć.

Że młody don Micheletto był powołany do odegrania roli złoczyńcy, nie zaskoczyło ani jego samego, ani kardynała; Miguel słusznie miał opinię niepospolitego człowieka. Jego

umiłowanie zarówno ojca w niebiosach, jak i Stolicy Apostolskiej oraz jego lojalność wobec nich nigdy nie podlegały wątpliwości, niezależnie od wad charakteru przypisywanych mu przez wrogów. Rodrigo Borgia nie wątpił, że don Micheletto zawsze podda się jego woli i chętnie zrobi wszystko, czego zażąda odeń Kościół święty.

A że kardynał uważał, że działa z boskiej inspiracji, to i don Micheletto wierzył, iż jego rękami kieruje ta sama niebiańska siła; nie było więc problemu grzechu. Bo czyż ilekroć sprawiał, że przestawał oddychać któryś z wrogów kardynała lub Kościoła, nie odsyłał po prostu jego duszy tam, skąd przyszła, i pod osąd ojca w niebiosach?

Tak więc wkrótce po wyzdrowieniu Juana Rodrigo Borgia, sam wychowany w Walencji i świadom więzów krwi, łączących go z tym Hiszpanem, wezwał siostrzeńca do Rzymu. Zdając sobie sprawę z niebezpieczeństw życia w obcym kraju, los i pomyślność swej rodziny składał w ręce dwudziestojednoletniego don Micheletta. Kiedy zaś dzieci kardynała podrosły, rzadko się zdarzało, by odwróciwszy się, nie spostrzegły za sobą cienia — don Micheletta.

Ilekroć kardynał był w Rzymie i pozwalały mu na to obowiązki wicekanclerza Kościoła, co dzień odwiedzał dzieci. Rozmawiał i bawił się z nimi, często z don Michelettem u boku. Przy pierwszej zaś okazji, chcąc uciec przed zaduchem upalnego rzymskiego lata, przed tłokiem wąskich uliczek Wiecznego Miasta, zabierał dzieci do swojego cudownego wiejskiego zacisza, samotni ukrytej wśród bujnej zieleni.